

TEMAT TYGODNIA

- 12 Adam Szostkiewicz
Papież idealny
- 14 Adam Grzeszak
Szczyty i upadki
Artura Hajzera
- 16 Rozmowa z **Sylwią**
Bukowicką, himalaistką

POLITYKA

- 18 Janina Paradowska
PO: skrzydełka i główka

KRAJ

- 20 Jacek Żakowski **Dlaczego**
usługi publiczne
nie działają jak trzeba
- 22 Edyta Gietka **Pogotowie**
wzywane i wyzywane
- 24 Ewa Wilk **Bezrobocie**
uderza w pracujących
- 28 Marcin Kołodziejczyk **Ksiądz**
Franciszek Longchamps
de Bérrier in vitro
ex cathedra
- 31 Edyta Gietka **O stolarzu,**
który miesiaćzki
przywracał
- 34 Joanna Solska **E-sądy:**
udowodnij,
że nie jesteś winien

RYNEK

- 37 Adam Grzeszak
Jak upadają polskie firmy
i jak się je ratuje

EDUKATOR
EKONOMICZNY

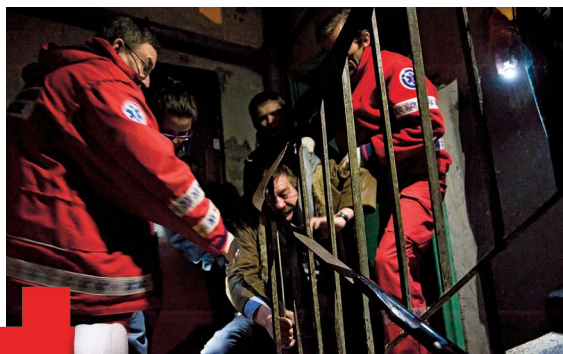
- 42 Witold M. Orłowski
Po co te wojny walutowe
- 44 Paweł Tarnowski **Kto**
zapłaci za karty płatnicze
- 46 Cezary Kowanda
Pożegnanie z grosikiem

ŚWIAT

- 48 Łukasz Wójcik **SYRIA**
Porzucony kraj,
porzucona wojna
- 52 Artur Domosławski
WENEZUELA
Chavizm zostaje
- 55 Dominika Pszczółkowska
FRANCJA Pani Kosciuszko
w Pałacu Elizejskim?



12 Jan Paweł III czy Benedykt XVII



22 Odpychające pogotowie



34 E-gzekucje przez e-sądy



52 Chavizm i chawiści

HISTORIA

- 58 Edwin Bendyk
Marks wrócił!
- 61 Andrzej Selerowicz
Julius Madritsch
– bohater getta

NAUKA

- 64 Agnieszka Krzemińska
Manuskrypty z Qumran
przed sądem
- 67 TECHNOECHO
- 68 Rozmowa z mikrobiolożką
dr Ewą Krawczyk o nowej
metodzie walki z rakiem
- 70 Katarzyna Sarek
Chińska nauka
– patenty i podróbki

PORADNIK
SPORTOWY

- 72 Marcin Piątek **Pora na ruch!**

KULTURA

- 82 Edwin Bendyk
Twórcy chcą pieniędzy
od państwa
- 85 KAWIARNIA LITERACKA
Sylvia Chutnik
- 86 Rozmowa z reżyserem
Thomasem
Vinterbergiem o jego
nowym filmie „Polowanie”
- 88 Dorota Szwarman
Czeska opera
- 90 Sebastian Frąckiewicz
Panie od komiksów
- 93 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

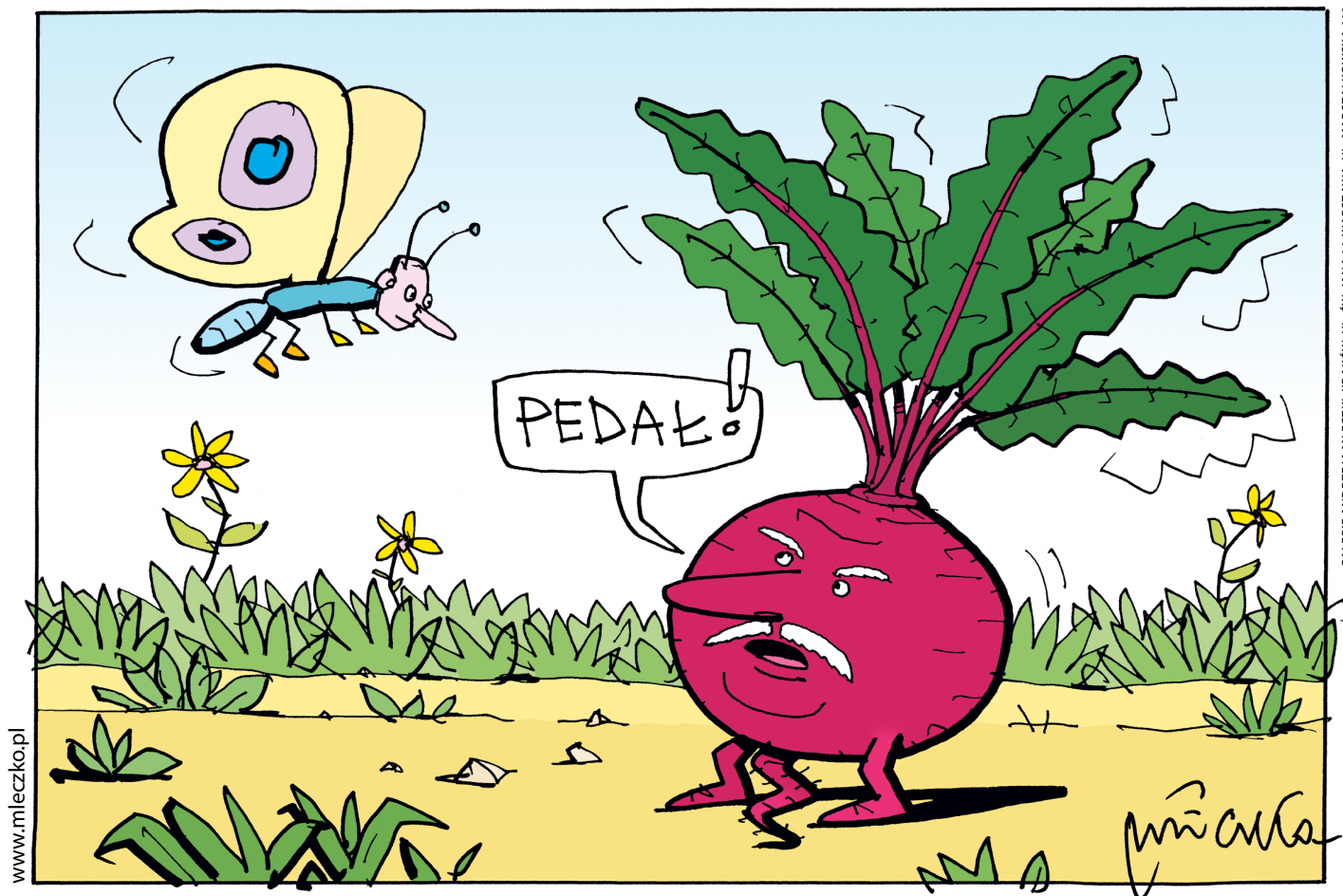
- 94 Piotr Witwicki
Rafał Kwaśniewski – bard,
który wołał narkotyki
od kariery
- 97 Rozmowa z socjolożką
Katarzyną Kajdanek
o pułapkach na uciekających
z miast
- 100 Mariusz Herma **Jak zmusić**
internautę do klikania

NA WŁASNE OCZY

- 108 Marta Zaraska
tekst i fotografie
Obozy pracy w Dubaju

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 78 Afisz
- 103 Passent • 104 Stomma
- 105 Tym • 106 Do i od, Fusy
- 114 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Robienie w wałka

W ramach politycznej ofensywy PiS Jarosław Kaczyński zaprezentował w Sejmie swój nowy tablet. Z prezentacji wynikało, że pewne rzeczy, łącznie z kandydatem na premiera, ma on głęboko w tablecie i nie zawaha się ich użyć. Wprowadzeniem tabletu do Sejmu prezes PiS zaskoczył posłów, którzy znając jego możliwości techniczne, spodziewali się, że może on tam wprowadzić co najwyżej adapter Bambino z jakąś starą płytą. Mina prezesa trzymającego przemawiający tablet świadczyła o tym, że był on z siebie bardzo zadowolony. Po wyłączeniu tabletu Jarosław Kaczyński przemówił osobiście i niestety wypadł gorzej, może dlatego, że nie miał go kto w porę wyłączyć. Prezentacja udowodniła, że prof. Gliński czuje się

w tablecie doskonale i powinien w nim jak najdłużej pozostać. Słuchać glosy, że niektórzy inni politycy także powinni prowadzić działalność w tablecie i nie wychodzić z niego. Osobiście sądzę, że gdyby minister Gowin zamiast występować na żywo, przemawiał z tabletu uruchamianego przez premiera Tuska, miałby znacznie lepszą pozycję w rządzie i nie mówiłoby się nieustannie o jego dymisji.

Politycy PiS zapewniają, że to nie koniec ich technologicznej ofensywy. Po trwającym wiele lat etapie robotyzacji mamy obecnie do czynienia z cyfryzacją i tabletyzacją elit tej partii. Kolejną fazą ma być pełna automatyzacja. Szczerze mówiąc, posłowie Hofman czy Błaszczak podczas konferencji prasowych już wyglądają tak, jakby byli uruchamiani z pilota. Niektóre ich wypowiedzi osiągnęły płaskość ekranów plazmowych najnowszej generacji, dzięki czemu niezależnie od tego, czy są puszczane od przodu czy od tyłu, zawierają tyle samo treści.

Sztuczka prezesa z tabletem była wielkim politycznym sukcesem i przeszła do historii światowego parlamentaryzmu, dlatego poseł Hofman zapewnia, że partia będzie „projekt Gliński” kontynuować. – Aby zmusić premiera Tuska do ustąpienia, w najbliższych tygodniach uruchomimy prof. Glińskiego w wersji na smartfon i płytę DVD, którą dołączymy do zestawów kina domowego. Z myślą o starszych odbiorcach najbardziej przebojowe fragmenty profesora chcemy wypuścić na winylowym singlu – wylicza.

Prawdziwą polityczną gratką ma być jednak odtworzenie profesora w Sejmie na archaicznych wałkach Edisona. Prezes Kaczyński od kilku dni uczy się już podobno obsługi wałków. Zdaniem Hofmana prezentacja ta, nawet jeśli nie doprowadzi do upadku rządu Tuska, odbije się szerokim echem w świecie. – W polityce szalenie istotne są gesty symboliczne. Uważamy, że właśnie takim gestem będzie publiczne pokazanie naszych wałków – przyznaje.



BIZNESKLASA DLA TWOJEJ FIRMY

SERIA CITROËN

BUSINESS



**CITROËN C-ELYSÉE
1.6 HDi 90
BUSINESS**

399 zł netto miesięcznie



**CITROËN BERLINGO
MULTISPACE 1.6 HDi 90
BUSINESS**

399 zł netto miesięcznie



**CITROËN C4 1.6 HDi 90
BUSINESS**

449 zł netto miesięcznie



**CITROËN C5 2.0 HDi 140
BUSINESS**

979 zł netto miesięcznie

CITROËN poleca **TOTAL**



LEASING 105% + UBEZPIECZENIE ZA 1,99%

W biznesie liczą się konkrety, dlatego Citroën przygotował dla Twojej firmy rewelacyjną ofertę. Szeroka gama samochodów w serii Business i bardzo atrakcyjne warunki finansowania: leasing 105% i pakiet ubezpieczenia za 1,99% wartości samochodu. Citroën w serii Business to prawdziwa biznesklasa dla Twojej firmy. Sprawdź szczegóły w najbliższym salonie Citroëna lub zapytaj o ofertę poprzez www.citroen.pl.

CRÉATIVE TECHNOLOGIE



Oferta dla firm dotyczy samochodów rok prod. 2013 zamówionych od 1.03.2013 do 31.03.2013 i wydanych do 15.04.2013. Promocyjna stawka 1,99% dotyczy ubezpieczenia komunikacyjnego OC/AC/NNW w TUiR Allianz SA w ofercie skierowanej wyłącznie do firm posiadających w swoim parku nie więcej niż 20 aut. Za ewentualne zwiski lub rozszerzenia zakresu klient płaci dodatkowo. Podane kwoty to wysokość miesięcznych rat leasingowych (bez VAT). Kwoty zawierają ubezpieczenie assistance, nie zawierają ubezpieczenia komunikacyjnego. Okres leasingu: 60 miesięcy. Wpłata własna: 45% ceny netto. Wykup: C-Elysée – 14,23%, Berlingo – 13,33%, C4 – 14,46%, C5 – 14,94% ceny netto. Niniejsze informacje nie stanowią oferty w rozumieniu artykułu 66 Kodeksu cywilnego. Szczegóły oferty i informacje o pozostałych dostępnych produktach leasingowych oraz kredytowych znajdują Państwo u Autoryzowanego Dystrybutora Citroëna. Podane informacje zostały podane według stanu na marzec 2013. Samochody Citroëna podlegają recyklingowi i odzyskowi zgodnie z przepisami dotyczącymi wymogów ochrony środowiska. Demontażu samochodów i zużytych części dokonuje się zgodnie z przepisami o odpadach.

Z Viktorem do wiktorii

Mariusz Janicki

komentarz



Nie zawiódł słuchaczy węgierski premier Viktor Orbán podczas spotkania ze swoimi polskimi zwolennikami na Uniwersytecie Warszawskim. Wzbudził wielki entuzjazm, a jeden z posłów PiS nazwał go „wybawcą”. Orbán był odpowiednio nieuprzejmy dla ateistów, kiedy stwierdził, według relacji, że „bez Boga nie można być uczciwym i dobrym człowiekiem”. Poradził prawicowej opozycji w bratnim kraju,

że aby wygrać wybory, musi stworzyć własne silne media. Sam co prawda na Węgrzech nie tyle je tworzył, co przejął gotowe, ale ma tam taką polityczną przewagę, że może robić niemal wszystko; PiS na szczęście teraz nie może, choć kiedy mogło, to przejmowało media bez cienia skrupowania. Jednak najważniejsze zdanie, jakie wygłosił węgierski przywódca, a skierowane wyraźnie do PiS, brzmiało: „ciągłe odnoszenie się do chrześcijaństwa nie pozwoli zdobyć większości wyborców”. Wynika z tego, że większość wyborców, także w Polsce, jest niechrześcijańska, a więc są to ludzie, zgodnie z poprzednim stwierdzeniem, „nieuczciwi” i „nieodbrzy”. Jednak trzeba zdobyć ich zaufanie po to, aby wygrać. Także Jarosław Kaczyński już dawno powiedział, że nie ma dla niego znaczenia, czyje ręce podnoszą się w głosowaniu za jego projektami. Niemniej Orbánowi sztuka politycznego uwodzenia, pozyskiwania niezdecydowanych, którzy nie rozpoznali prawdziwych intencji polityka, udało się daleko bardziej.

Orbán w całej rozciągłości potwierdził swoją strategię, o której kilka tygodni temu pisaliśmy w POLITYCE: konserwyzm i religijny fundamentalizm trzeba przemycić pod postacią „naturalnej w demokracji zmiany władzy”, a dopiero potem otworzyć teczkę z radykalnymi pomysłami; wszak, jak powiedział Orbán, tylko 14 proc. Węgrów to praktykujący katolicy. Co nie przeszkadza, aby religijnie motywowane ustawy przeprowadzać, tylko nie należy się z nimi przed wyborami obnosić. PiS jest tu na razie dość nieudolnym naśladowcą węgierskiego mistrza, ale się uczy. Okresy tzw. normalności ma coraz dłuższe, a prezes Kaczyński coraz lepiej przyswaja sobie zasadę, aby wystrzegać się pierwszych odruchów, bo mogą być szczerze. Tak jak uczy węgierski Viktor.



© MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

Gildia Holland

Powstaje związek zawodowy polskich reżyserów, który ma bronić interesów tego środowiska. W kinematografii obowiązuje system producentki marginalizujący rolę reżyserów. Wynagrodzenia za pracę w tym zawodzie w porównaniu z innymi krajami europejskimi są u nas najniższe. Gildia chce to zmienić. Za jedną z najpilniejszych spraw do załatwienia uważa zagwarantowanie reżyserom prawa do ostatecznej wersji montażowej filmu.

Na czele związku stanęła **Agnieszka Holland**, która formalnie nie może jednak pełnić funkcji prezesa, ponieważ nie jest zatrudniona na etacie w Polsce i nie mieszka tu na stałe. Zobowiązała się jednak patronować przedsięwzięciu i przyjąć pełnomocnictwa kolegów do działań i negocjacji z partnerami. – *Nie istnieją u nas żadne regulacje, hula totalna dowolność zarówno stawek reżyserskich, jak i kontroli środków inscenizacyjnych i prawa do final cut* – twierdzi nowo wybrana szefowa związku, uspokajając, że nie jest on skierowany przeciw producentom ani Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej. Przeciwnie, chodzi o to, żeby stworzyć i wynegocjować wspólnie jasne reguły gry. Wiceprzewodniczącą związku została Joanna Kos-Krauze, a w zarządzie zasiadają m.in. Leszek Dawid, Borys Lankosz, Wiesław Saniewski, Iwona Siekierzyńska i Marcin Wrona.

(J.W.)

Ładnym kobietom łatwiej o pracę



© MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

Prawie 30 proc. Polaków uważa, że kryzys gospodarczy pogłębił różnicę w wysokości wynagrodzeń mężczyzn i kobiet – wynika z badań Eurobarometru, zaprezentowanych

w Brukseli podczas konferencji „Kobiety i kryzys ekonomiczny”. Badania były przeprowadzone na reprezentatywnych grupach we wszystkich 27 krajach UE. 46 proc. Polaków jest przekonanych,

że rekrutując kobiety, pracodawcy biorą pod uwagę posiadanie przez nie dzieci (średnia europejska 49 proc.), a w przypadku mężczyzn ma to znaczenie według 6 proc. Polaków (tu nie odbiegamy od średniej). Ale aż 36 proc. z nas uważa, że gdy kobieta stara się o pracę, to znaczenie ma jej aparycja i wygląd, a w odniesieniu do mężczyzn myśli tak tylko 14 proc. Polaków. Ze wszystkich krajów UE jedynie Grecy (47 proc.), Węgrzy (40 proc.) i Rumuni (47 proc.) częściej od nas uważają, że wygląd kobiet tak bardzo liczy się w procesie rekrutacji. Ten pogląd podziela np. tylko 13 proc. Duńczyków – najmniej w Europie. Tylko co piąty Polak

uważa, że doświadczenie zawodowe kobiet ma znaczenie przy staraniu się o pracę.

– *Zszokowało mnie to, że Europejczycy są przekonani, iż w kryteriach przyjęcia do pracy tak bardzo w przypadku kobiet liczy się atrakcyjny wygląd, a doświadczenie zawodowe jest dopiero na siódmym miejscu* – mówi Elizabeth Morin-Chartier, wiceprzewodnicząca Komisji Praw Kobiet i Równouprawnienia w Parlamencie Europejskim.

Komisja wzywa państwa członkowskie, by planując wydatki z wynegocjowanego właśnie unijnego budżetu, zwróciły uwagę na wyrównanie szans kobiet i mężczyzn.

(Dąb.)

Superżarty

Jarosław Kaczyński znów wszystkich okpił. „Projekt Gliński”, traktowany mimo wszystko z pewną powagą – bo miał wykorzystać istotny w końcu instrument konstytucyjny, jakim jest konstruktywne wotum nieufności – okazał się w wykonaniu szefa PiS jednym z lepszych sejmowych happeningów. Kaczyński poważny, ale jednocześnie figlarnie uśmiechający się znad tabletu, zdecydowanie przebił happeningi wcześniejsze, takie jak dostarczanie na sejmową trybunę posiłków Gabrielowi Janowskiemu czy zbiorowa okupacja mikrofonów przez ludzi Andrzeja Leppera. Oslupiała sejmowa sala przez dobry kwadrans wpatrywała się w coraz bardziej rozbawionego prezesa, pani marszałek nie bardzo wiedziała, co zrobić, bo jak przerwać tabletowemu? Sejmowi stenografowie bezradnie notowali jedynie, że albo śmiech, albo jakieś pojedyncze odzywki posłów z ław, bo nie bardzo wiedzieli, czy to, co mówi Gliński, jest częścią debaty czy nie. Ostatecznie uznali, że nie. Niezbyt wyraźne miny mieli także siedzący na galerii członkowie „rządu technicznego”, którzy wkroczyli na nią dumnie po wcześniejszej prezentacji programu w jednej z bocznych sal, oflagowanej na biało-czerwono jak należy, a nawet przesadnie. Wyróżniał się wprawdzie pewnym luzem jeden z członków owego gabinetu, ubrany w nieco zużyty podkoszulek z proroczym napisem „Polacy nic się nie stało”, ale normą były garnitury i powaga, zwłaszcza przyszłego premiera.

Przyszedł „premier”, bo w końcu musiałam uwierzyć, że prof. Gliński swoją misję traktował z całą powagą i aż do nieśczęsnego głosowania wierzył, że ster rządów w „dryfującej Polsce” (jego ulubione określenie) obejmie. Przekonywał mnie wprawdzie jeden z rozmówców Glińskiego, który spotkał się z nim w trakcie jego zabiegów o polityczne poparcie, że profesor jest przekonany o powodzeniu swojej misji i ma głosy dokładnie policzone – cały PiS, to oczywiście, grupa Pawłaka



z PSL, grupa Gowina z PO, także Solidarna Polska, ale przyznam, nie wierzyłam, że on wierzy. Rozczarowanie prof. Glińskiego po głosowaniu było aż nadto widoczne. Zresztą większość ekspertów pana profesora na głosowaniu się nie pojawiła, jakby w przeczuciu klęski. No bo skoro sam Kaczyński z trudem wytrzymuje, by nie roześmiać się pełną gębą ze swego numeru, to jak ma całą sprawę potraktować eksperckie grono użyte tak bardzo instrumentalnie? Rzeczą dałaby się wytłumaczyć, gdyby uznać, że grono to postanowiło pobrylować sobie trochę za pieniądze PiS, bo przedsięwzięcie było podobno dla partii dość kosztowne. Czy jednak wypada rząd techniczny posadzać o tak niskie pobudki? W każdym razie premier Gliński swoją misję wydaje się nadal traktować z wielką powagą, tyle że obecnie będzie działał już „na gruncie eksperckim”, choć nie sprecyzował, co to znaczy. Na razie musi napisać zaległe recenzje naukowe, czyli wykonać pracę bardziej pożyteczną niż premierowanie.

Gdy zaś idzie o Jarosława Kaczyńskiego, prezentacja z tabletu była przednia, ale im dalej, tym gorzej. Oczekiwane od roku

ważne ponoć sejmowe wystąpienie lidera największej partii opozycyjnej nie było mową polityka wizjonera, nawet nie lidera opozycji przedstawiającego alternatywę dla rządzących, ale buchaltera sumującego banalne zdania z wcześniejszych niezliczonych konferencji prasowych, na których ogłaszał, że rząd Tuska jest najgorszy z możliwych, a jego był znakomity, i że w Polsce dobrze rządzić może tylko PiS. Najważniejszym więc aktem politycznym było samo głosowanie pokazujące zupełne osamotnienie PiS i jego zerową zdolność koalicyjną, jeśli nie liczyć zdolności koalicyjnej z posłanką Wróbel, co jeszcze nie musi oznaczać likwidacji Solidarnej Polski.

Tydzień przyniósł także wyjaśnienie dręczącej nas już prawie 20 lat zagadki jednego z największych przedsięwzięć III RP, jaką była tak zwana inwigilacja prawicy. Zagadki, która uległa jeszcze większemu zagniataniu za rządów PiS, kiedy okazało się, że w ujawnionych dokumentach nie było nic o czyszczeniu na zdrowie i życie liderów Porozumienia Centrum oraz dalszej dezintegracji mocno już wówczas zdeintegrowanej prawicy, za to było sporo o podejrzeniach dotyczących nieczystych interesów finansowych. Tym razem zaczęło się poważnie od esemesa zawiadamiającego o konferencji prasowej Solidarnej Polski z udziałem samego Ludwika Dorna. SP organizuje tyle konferencji prasowych dziennie, że nikt prawie nie zwraca na nie uwagi, niemniej informacja, że rzecz dotyczy inwigilacji prawicy, zelektryzo-

wała, a obecność Dorna, który swego czasu był wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych, dawała nadzieję, że może coś ujawni, może jakieś kwity widział, a nawet zachował. Wszak SP jest dziś głównym politycznym przeciwnikiem PiS. W trakcie debaty o „premierze Glińskim” najostrzej z Kaczyńskim stał się właśnie Dorn.

Okazało się jednak, że inwigilacja dotyczy czasów współczesnych i to Solidarna Polska jest inwigilowana, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na polecenie kierownictwa PiS. Biorąc w tym udział uroczę działaczkę partii Kaczyńskiego, które uwodzą młodych i niedoświadczonych ziołbrystów. Ci zaś zdradzają im partyjne plany i tajemnice, które trafiają do sztabu PiS. Cała akcja była zaplanowana jako przedsięwzięcie długofalowe, ale została zdemaskowana. Trudno Ludwika Dorna traktować zupełnie niepoważnie, a więc wypada uznać, że sprawa inwigilacji prawicy znalazła wreszcie godne i zgodne z prawdą wyjaśnienie.

Możemy odetchnąć z ulgą, że III RP ma mniej tajemnic, choć zarazem przybywa tajemnic IV RP. Niestety, jak się okazało, nie jesteśmy bliżej wyjaśnienia zagadki śmierci gen. Władysława Sikorskiego w gibraltarskiej katastrofie. W natłoku wydarzeń mogła umknąć ważna informacja, że prokuratorzy IPN przesłuchali za granicą dwóch świadków tamtego zdarzenia – pletwonurka i radiotelegrafistę, w wyniku czego zebrali „pogłębiony materiał” do dalszych badań. Czy przedstawiciel IPN nie powinien wejść do eksperckiego rządu prof. Glińskiego?

Jan Koza



© JAN KOZA

Czy dożyjemy zmiany prawa pogrzebowego

Wprzyszłym tygodniu Sejm najpewniej odrzuci projekt SLD o cmentarzach i chowaniu zmarłych, który m.in. pozwalał na przechowywanie urn z prochami bliskich zmarłych w domach oraz rozsypywanie prochów na polach pamięci. Choć komisja ustawodawcza pozytywnie go zaopiniowała, to posłowie z komisji administracji oraz samorządu terytorialnego głosami PO, PiS, PSL i Solidarnej Polski odrzucili projekt i to samo rekomendują Sejmowi. Wcześniej sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski bp Wojciech Polak, proszony o zaopiniowanie projektu, wniósł o jego odrzucenie w całości, bez jakiegokolwiek słowa uzasadnienia.

Posłowie zajmą się za to regulującym kwestie chowania zmarłych projektem ustawy klubu PSL, popartym przez Platformę Obywatelską. W projekcie PSL, który w tym tygodniu trafi do łaski marszałkowskiej, nie ma mowy o przechowywaniu urn w domach ani wysypywaniu prochów. – Jesteśmy za tradycyjnym pochówkiem na cmentarzach. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł mieć prochy w domu i godził się na to, by w każdej chwili, tak jak przewidywał to projekt SLD, ich przechowywanie mogła skontrolować inspek-



© WLÓDZIMIERZ WASYLUK/REPORTER

cja sanitarna – mówi Krystyna Ozga (PSL), autorka projektu. Dodaje, że obowiązująca dziś ustawa o cmentarzach i chowaniu zmarłych powstała w 1959 r. i wiele jej zapisów jest anachronicznych.

Projekt PSL przewiduje, że zmarłych nadal będziemy chować tylko na cmentarzach.

– Ponadto zapisaliśmy możliwość chowania zmarłych w świątyniach i kościołach, bo do tej pory prawo nie dawało takiej możliwości i na przykład pochówek prezydenckiej pary na Wawelu odbył się na zasadzie zwyczajowej, bo prawo nie daje takich możliwości

– mówi Ozga. Projekt zawiera też słowni-

czek 26 funeralnych pojęć, takich jak: trumna, prochy, ekshumacja, które dotąd nie były opisane. Osoby pozostające w nieformalnych związkach (a także małżonkowie pozostający w separacji) wciąż nie będą miały prawa do urządzenia pogrzebu partnera (taką możliwość daje projekt SLD).

Dość rewolucyjnym rozwiązaniem w projekcie ludowców jest zakaz wykonywania jakichkolwiek czynności na ciele zmarłego przed upływem 24 godzin od czasu zgonu. – Zdarza się, że osoba uznana za zmarłą jest w śmierci klinicznej i te 24 godziny są dla

niej takim zabezpieczeniem. Ponadto dziś ciało mogło być zabrane z domu zmarłego w ciągu 72 godzin, my chcemy skrócić ten czas do 48 godzin – mówi autorka projektu z PSL. Szkoda, że i tym razem posłowie nie potrafili dojść do porozumienia i pracować nad dwoma projektami ustaw o cmentarzach i o chowaniu zmarłych, by spróbować pogodzić bardziej liberalny punkt widzenia (jak w projekcie SLD) z konserwatywnym (jak pomysły PSL). Politycznie dzielimy się od poczęcia aż do naturalnej śmierci i nawet po niej.

(DAB.)

OGŁOSZENIE PŁATNE

Wyrażamy ubolewanie, że w artykule zamieszczonym w tygodniku „Wprost”, zatytułowanym „Klon PZU”, numer 11 z dnia 19 marca 2006 r., strony 44-45, naruszone zostały dobra osobiste Pana Cezarego Stypułkowskiego, w dacie powyższych artykułów Prezesa Zarządu PZU SA, poprzez podanie nieprawdziwych informacji, iż Pan Cezary Stypułkowski podawał nieprawdziwe informacje na temat sytuacji PZU SA, a jego działania były obliczone na obniżenie wartości tej spółki.

W związku z powyższym przepraszamy Pana Cezarego Stypułkowskiego za naruszenie Jego dobrego imienia i narażenie na ryzyko utraty zaufania publicznego niezbędnego do wykonywania przez Niego zawodu profesjonalnego menedżera instytucji finansowych.

**Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Wprost”
sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie**

Wyrażamy ubolewanie, że w artykułach zamieszczonych w tygodniku „Wprost”, zatytułowanych „PZUj Stypułkowski” z dnia 25 lipca 2004 r., numer 30, na stronach 34-38, oraz „Partia Eureko” w numerze 48, numer oznaczony datą 4 grudnia 2005 r., naruszone zostały dobra osobiste Pana Cezarego Stypułkowskiego, w dacie powyższych artykułów Prezesa Zarządu PZU SA, poprzez określenie Cezarego Stypułkowskiego „facetem od mokrej roboty”, co mogło sugerować, iż jest to osoba, która dopuściła się przestępstwa, co było oczywistą nieprawdą, podanie nieprawdziwych informacji, iż Pan Cezary Stypułkowski zmierzał jako prezes zarządu PZU SA do pogorszenia sytuacji ekonomicznej PZU SA, faworyzował i działał na rzecz jednego z akcjonariuszy spółki Eureko.

W związku z powyższym przepraszamy Pana Cezarego Stypułkowskiego za naruszenie Jego dobrego imienia i narażenie na ryzyko utraty zaufania publicznego niezbędnego do wykonywania przez Niego zawodu profesjonalnego menedżera instytucji finansowych.

**Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Wprost”
sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie**

Audi Business Program

Indywidualne rozwiązania dla każdego przedsiębiorcy



**Poznaj korzystne rozwiązania, które przygotowaliśmy dla firm
i osób prowadzących działalność gospodarczą:**

- pakiety wyposażenia w promocyjnych cenach, dopasowane do potrzeb biznesu,
- korzystny leasing 105% Audi Finance,
- rabaty dla przedsiębiorców dostępne przy zakupie już jednego samochodu,
- pakiety serwisowe i gwarancja mobilności.

Zapraszamy do kontaktu z konsultantem Audi Business Program, który przedstawi szczegóły i odpowie na Państwa pytania.

W zależności od wariantu i wersji dla Audi SQ5 zużycie paliwa w cyklu łączonym: 6,8 l/100 km, emisja CO₂: 179 g/km; dla Audi A6 Avant zużycie paliwa w cyklu łączonym: od 5,0 do 8,2 l/100 km, emisja CO₂: od 132 do 190 g/km.

Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji znajdują się na stronie www.audi.pl.



Sprawdź szczegóły na www.audibusiness.pl
Skontaktuj się z konsultantem: tel. 801 200 700



Przez siedem godzin kondukt Wenezuelczyków odprowadzał Hugo Cháveza do stołecznej akademii wojskowej, gdzie odbyły się uroczystości pogrzebowe. Kryształowa trumna jeszcze przez tydzień będzie wystawiona na widok publiczny, a później zabalsamowane zwłoki *Comandante* spoczną w Muzeum Rewolucji. Na tymczasowego prezydenta został zaprzysiężony dotychczasowy wiceprezydent Nicolás Maduro, co opozycja uznała za krok niekonstytucyjny. Maduro ogłosił, że cierpiący na raka prezydent został otruty przez „historycznych wrogów”, czyli Amerykanów. Zapowiedział dochodzenie w tej sprawie. W wyborach rozpisanych na 14 kwietnia jego głównym przeciwnikiem będzie Henrique Capriles Radonski, który przegrał z Chávezem w październiku ub.r.

Artur Domosławski o Wenezueli po Chávezie – s. 52

Z Salonik na dożywocie

Były burmistrz Salonik (w latach 1999–2010) **Vassilis Papageorgopoulos**, sekretarz generalny ratusza oraz skarbnik po sześciomiesięcznym procesie skazani zostali na kary dożywocia za sprzeniewierzenie 18 mln euro z miejskiej kasy. Dziennik „Kathimerini” komentuje, że to „prawdziwe trzęsienie ziemi”. 65-letni były burmistrz drugiego po Atenach miasta Grecji był rozpoznawalną postacią publiczną, swego czasu rekordzistą Europy w biegu na 100 m. Podczas procesu odrzucał wszelkie oskarżenia, ale pogrzyżyły go zeznania następcy w ratuszu, Jannisa Boutarisa. Grecy chcą pokazać sobie i światu, że poważnie walczą z korupcją. Przed tygodniem były minister obrony 73-letni Akis Tsochatzopoulos skazany został na 8 lat więzienia za sfałszowane zeznania podatkowe, 520 tys. euro grzywny i konfiskatę domu pod Akropoliem. Czekają go jeszcze procesy o przyjmowanie łapówek, kiedy był ministrem.

© AP/EAST NEWS



Najbogatszy parlament

Obradujące od tygodnia przy placu Tiananmen Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych to według konstytucji z 1982 r. najwyższy organ ustawodawczy państwa. Zbierając się raz do roku, zatwierdza budżet i ustawy, ale jeśli chodzi o samodzielność, „żąda ryż ugotowany przez partię”. Dlatego Xi Jinping i Li Keqiang są dziwnie spokojni, że pod koniec obrad opuszczają tę wielką salę jako nowy prezydent i nowy premier, bo już w listopadzie ub.r. objęli dwa najważniejsze stanowiska w kierownictwie partii.

To chińskie zgromadzenie jest dziś najbogatszą grupą parlamentarystów na świecie. Wśród 2987 delegatów jest 31 autentycznych dolarowych miliarderów (według szanghajskiego Instytutu Hurun). Kolegą delegatem jest sam najbogatszy Chińczyk, król branży spożywczej 67-letni Zong Qinghou (12,5 mld dol.), który trafił tu w 2003 r., a trzy lata temu został przyjęty do partii komunistycznej. Z kolei pięciu najbogatszych delegatów (jak podsumował Hurun) dysponuje majątkiem rzędu 35 mld dol., czyli przynajmniej pięciokrotnie większym, niż w sumie posiada 535 członków Kongresu USA. Przy czym najbogatszy z nich, republikanin z Teksasu Michael McCaul, ma odłożone śmiechu wartość 500 mln dol.



© CARLOS BARRIA REUTERS/FORUM

Bliźniacy bardzo polityczni

Oto **bracia Castro**, tyle że nie z Kuby, lecz z Teksasu. Jeden może być kiedyś prezydentem. Są politykami Partii Demokratycznej w USA. Julián (z lewej) jest merem San Antonio. Joaquín – kongresmenem. Mają meksykańskie korzenie i prawdopodobnie błyskotliwe kariery polityczne przed sobą. Julián wygłosił w zeszłym roku na krajowym zjeździe Demokratów ważne przemówienie. To jemu wróżą, że będzie „latynoskim Obamą”. Obaj po prestiżowych uniwersytetach, z „powerem” po matce, która organizowała politycznie meksykańskich imigrantów w stanie kontrolowanym politycznie przez białych republikanów. Mają po 38 lat, ale Julián jest o minutę starszy. Rodzice nie byli małżeństwem, rozeszli się, gdy bliźnięta były jeszcze małe, ale oboje się o nich troszczyli, tak jak ich uboga babka dbała wcześniej o edukację córki Rosie, matki braci. Bracia są prawie nieodróżnialni. Do tego stopnia, że przed laty Joaquín zastąpił brata w pewnym momencie jego kampanii wyborczej na burmistrza i nikt wśród tysięcy ludzi na paradzie zamiany nie zauważył. Na razie burmistrza rozpoznają po obrączce, brat jeszcze jest kawalerem. Rywalizacji między nimi nie widać, bo jeden jest rządcą, drugi prawodawcą. Ale za jakiś czas, kto wie? Stawiają sobie podobne ambitne cele: inwestować w edukację i odebrać Teksas republikanom. Naprzód!



Armaty i marionetki

W każdej chwili na Półwyspie Koreańskim może wybuchnąć wojna nuklearna – ostrzega północnokoreański Komitet ds. Pokojowego Zjednoczenia Korei. I dodaje, że w obliczu nowych sankcji oraz manewrów wojsk USA i ich „południwokoreańskich marionetek” Korea Płn. odpowie „mieczem na atak sztyletem, artylerią na atak karabinem oraz potężniejszymi precyzyjnymi uderzeniami nuklearnymi w koreańskim stylu na atak nuklearny”. Według tradycyjnie historyczno-patetycznych oświadczeń Północy, doroczne ćwiczenia wojskowe na Południu są wstępem do najazdu. A to każe zerwać zawieszenie broni, które w 1953 r. skończyło wojnę koreańską.

Groźby nie wywołały paniki Południa, które zdążyło się już uodpornić, bo dotąd reżim Kimów straszył wielokrotnie. O ile jeszcze dwie dekady temu rzucano by się do sklepów, aby robić zapasy, to teraz seulczycy pocieszają się, że łatwiej zginąć w wypadku samochodowym niż od północnokoreańskiej bomby. Pocieszające są także analogie: ostatnio napięcia między Koreami w najgorszym wypadku kończyły się na tragicznych, ale mimo wszystko incydentach, np. zatopieniu okrętu albo ostrzale artyleryjskim spornych wysp. Właśnie takich prowokacji mieszkańcy Południa obawiają się teraz najbardziej.

Kondor pikuje

Jorge Videla i **Reynaldo Bignone** nie wydawali się specjalnie poruszeni, gdy odczytywano im zarzuty. Nic dziwnego: przywódca rządzącej Argentyną w latach 1976–83 junty wojskowej i tak odsiadują już dożywotnie wyroki za inne zbrodnie popełniane z ich rozkazu, więc ewentualna przegrana w sądzie nic w ich codziennej rutynie nie zmieni. Rozpoczynający się w Buenos Aires proces, w którym na ławie oskarżonych zasiada też 23 innych mężczyzn, z uwagą śledzą tysiące ludzi w całej Ameryce Łacińskiej, dotyczy on bowiem niesławnej Operacji Kondor, kampanii terroru prowadzonej w latach 70. i 80. przez służby specjalne Chile, Argentyny, Urugwaju, Brazylii, Boliwii i Paragwaju.



Jej szczegóły wyszły na jaw dzięki funkcjonariuszom tego ostatniego kraju, którzy skrupulatnie archiwizowali swoje zbrodnie – w 1992 r. w siedzibie tamtejszej policji znaleziono słynne „archiwa terroru” opisujące tysiące porwań, tortur i morderstw popełnianych na członkach lewicowej opozycji z całego regionu.

Historycy szacują, że w ramach Operacji Kondor zamordowano pomiędzy 50 a 80 tys. osób i to nie tylko w Ameryce Południowej: jednym z kluczowych dokumentów w rozpoczynającym się procesie jest odtajniony raport FBI, który opisuje szczegóły zamachu, jaki w 1976 r. przeprowadziła chilijska tajna policja na własnego byłego ambasadora w Waszyngtonie. Prokuratura chce przesłuchać ok. 500 świadków, a proces (który powinien się zakończyć za dwa lata) będzie symboliczny: nie wiadomo, czy innych autorów Operacji Kondor da się osądzić także w ich ojczyznach, bo podobnie jak Videla i Bignone – odpowiednio 87 i 85 lat – stoją już nad grobem.

Papież doskonały

Papież może być biały, czarny albo żółty. A jaki byłby idealny?

ADAM SZOSTKIEWICZ

Czy to już ten dym nad Kaplicą Sykstyńską? Gorączka podskoczyła 12 marca; to pierwsze konklawe rozwiniętej epoki cyfrowej. Epoki coraz większej wolności jednostek i społeczeństw i coraz większych nierówności społecznych grożących wybuchem przemocy. Nie dowiemy się, czy przed konklawe kardynałowie o tym dyskutowali. A powinni. Na cóż światu papież oderwany od jego rzeczywistych problemów?

Nie dowiemy się, bo „praska wiosna” w Watykanie trwała ledwie dobę. Tak przezwano inicjatywę kardynałów z USA: chcieli codziennie spotykać się z mediami przed wyborem papieża. Odpowiadać na pytania dziennikarzy mniej pokretnie niż rzecznik Federico Lombardi. Mówić otwartym tekstem o kondycji Kościoła, o wyzwaniach i zadaniach. Watykańskiej biurokracji taka alternatywna kościelna polityka informacyjna nie mogła się spodobać. 6 marca kardynałowie z USA wycofali się z otwartych spotkań z prasą.

Watykańska obsesja na punkcie przecieków do mediów sięga zenitu. Pomieszczenia, gdzie spotykają się elektorzy, są naszpikowane elektroniką blokującą komunikację ze światem. Funkcjonariusze bezpieczeństwa szukają wszędzie podsłuchów. Kardynałom elektorom nie wolno się oddalać do toalet w Muzeum Watykańskim. Ta sekretność paradoksalnie sprzyja temu, co tak denerwuje Watykan: mnożeniu się plotek i spekulacji w Kościele i poza nim. Pół świata dyskutuje w mediach o tajnym raporcie trzech kardynałów dla Benedykta XVI o bałaganie w zarządzaniu Watykanem. Benedykt tak go utajnił, że nawet kardynałowie elektorzy nie mają do niego dostępu. Jak mają sobie wyrobić zdanie o kondycji Kościoła powszechnego? A przecież wystarczyło upublicznić przynajmniej streszczenie dokumentu, by uciąć spekulacje. I właśnie amerykańscy kardynałowie dobrze wyczuli tę anachroniczność kościelnego podejścia do informacji. W końcu pochodzą z kraju, którego konstytucja już ponad dwieście lat temu gwarantowała wolność słowa, prasy i religii.

Kimże jest ten Wielki Brat, przed którym Watykan chce chronić konklawe? Która współczesna demokracja chciałaby dziś wpływać na elekcję papieża? Kościelny strach przed ingerencją świeckich potęg był zrozumiały wieki temu, dziś jest humorystyczny. Mocarstwa mogą dbać o poprawne stosunki z państwem papieskim, ale pierwsze są ich własne interesy. Protesty Jana Pawła II przeciwko interwencji Zachodu w Iraku – a wzięła w niej udział także ojczyzna papieża Polaka – były bezsilne. Ale ten sprzeciw Wojtyły to było to, czego świat oczekuje od liderów moralnych. To jest ich najważniejsza globalna rola. Mogą publicznie mówić to, czego na co dzień nie mówią dyplomaci, także watykańscy. Papieska dyplomacja milczy np. o sprawie Tybetu, bo nie chce narażać na represje katolików w Chinach. Nie jest w stanie zapobiec prześladowaniom katolików w świecie islamu czy w Indiach.

Ale dyplomaci w sutannach radzą sobie nieźle w porównaniu z watykańską biurokracją. Symbolem jej indolencji

było okradzenie papieża Ratzingera przez jego własnego kamerdynera. To on, zaufany człowiek dworu papieskiego, a nie agenci jakichś antyklerykalnych mocarstw, zadał potężny cios wizerunkowi Watykanu. A jeśli pralaci nie potrafili ochronić samego papieża, to czy Kuria Rzymska może sobie poradzić z innymi kłopotami?

To groteska, by karać Amerykanów za urządzenie spotkań z mediami, gdy jest tajemnicą poliszynelem, że w Watykanie przecieki do prasy pochodzą przede wszystkim od Włochów. Włoscy kardynałowie świetnie umieją używać prasy w rozgrywce papieskiej.

Kościół wytyka mediom świeckim, że nie mają pojęcia, czym jest konklawe. Poucza, że nie jest ono elekcją, ale medytacją, rodzajem mistycznego obrzędu z udziałem siły wyższej. To ona ostatecznie naprowadza kardynałów, na kogo mają głosować. A przecież konklawe, jakie jest, każdy widzi. Chodzi o wybór Szefa Firmy. Ponad miliard wiernych, 5 tys. biskupów, 400 tys. duchownych. Ale sytuacja jest niestandardowa. Ratzinger poszedł w ślady bohatera doskonałej komedii filmowej Nanniego Morettiego „Habemus papam”, która okazała się dziełem proroczym: papież nie czuje się na siłach sprawować mandat i ucieka po wyborze z Watykanu.



© GETTY IMAGES/FPM

Wcale nie wiadomo, czy ta przygoda papieżstwa nie okaże się początkiem jego schyłku. Bo w końcu w Ewangeliach i Dziejach Apostolskich Watykan, dwór papieski, prałaci i dykasterie nie figurują. Państwo kościelne nie narodziło się w Palestynie Jezusa, tylko znacznie później w Europie. Kto wie, czy Jezus w pysze i przepychu papieskiego Rzymu nie poczułby się jak w jerozolimskiej świątyni, z której przegonił kupców.

Papiestwo w obecnym kształcie weszło w fazę dysfunkcjonalną. Jest bardziej problemem niż rozwiązaniem problemu. I to jest temat, jaki dla dobra Kościoła powinni byli podjąć kardynałowie na wspólnych zebraniach przed konklawe. Bo kiedy zamknęły się za nimi drzwi Sykstyny, czasu już na to nie ma. Odcięci od świata (i od świeżego powietrza, taki tam ścisk), usadowieni pod malowidłami Michała Anioła, pełnymi kształtnych nagich ciał męskich, uczestniczą w obrzędzie, którego teatralność przypomina pokaz kościelnej mody z pamiętnego „Rzymu” maestra Felliniego. Miejmy nadzieję, że przed konklawe podjęli próbę odpowiedzi, jakie cechy i umiejętności powinien posiadać następca Josepha Ratzingera. Bez odpowiedzi na to pytanie trudniej wybrać papieża dobrego dla Kościoła w XXI w.

Jaki byłby ten idealny, najbardziej pożądaný papież dla Kościoła i świata? Zaczniemy od imienia.

W Kościele rzymskim imiona papieży są ważnym komunikatem. Kardynał Karol Wojtyła, wybierając swoje imię, wysłał informację, że chce iść w ślad za Janem Pawłem I, a ten, wybierając swoje bezprecedensowe podwójne imię – że czuje się dziedzicem soborowych papieży Jana XXIII i Pawła VI. Podobnie wybierając imię Benedykta XVI, kard.

Ratzinger wskazał na Benedykta XV, arystokratę, dyplomatę, papieża, który usiłował ratować pokój przed i w czasie pierwszej wojny światowej.

W internetowych dyskusjach przed obecnym konklawe proponowano, w tym właśnie duchu, by nowy papież przyjął imię Benedykt XVII albo Jan Paweł III. Oznacza to oczekiwanie w Kościele na więcej tego samego. Na kontynuację twardego konserwatyzmu Ratzingera uskrzydłonego medialną charyzmą Wojtyły. Są kardynałowie, którzy za zadanie nowego papieża uważają przede wszystkim skuteczny przekaz wiary katolickiej. Ma być „uduchowionym człowiekiem wiary, jakąś syntezą pontyfikatów Benedykta i Jana Pawła” (abp Zygmunt Zimowski); nie musi być erudyta, „lecz musi mieć świadomość, że ma umacniać braci w wierze” (kard. Zenon Grocholewski). Czyli duszpasterz, kaznodzieja, ewangelizator bardziej niż sztywny doktryner czy akademik.

Nowy papież ma po prostu głosić ewangelię, puentuje naczelny redaktor półoficjalnego organu watykańskiego „L'Osservatore Romano”, prof. Vian. Kardynałów odpowiadających tym oczekiwaniom znajdziemy na każdym kontynencie, choć żaden nie wydaje się wyborczym pewnością. (W jednym z sondaży w Internecie faworytami byli Turkson z Ghany i erudyta Włoch Ravasi). Za to oczywiście są wyzwania stojące przed nowym papieżem.

Dla Kościoła głównym jest odchodzenie ludzi od wiary. Oficjalne statystyki są niby krzepiące, ale w Polsce i Europie, a także w obu Amerykach apetyt na katolicyzm słabnie. Co zrobić, by ukazać ten nowy Kościół jako dynamiczny, radosny, atrakcyjny zwłaszcza dla młodych? – pytał przed konklawe kard. Dziwisz. Również kardynał elektor Ryłko kwestię wiary traktuje jako kluczową w nowym pontyfikacie. Przy takim podejściu nie jest ważny ani kolor skóry, ani kraj pochodzenia nowego papieża. Ważna jest żarliwość ewangelizacyjna. Ale trudno sobie wyobrazić, by jej źródło mogło dziś bić w Watykanie.

Amerkański kardynał Francis George oczekuje od nowego papieża „zera tolerancji dla nadużyć seksualnych w Kościele”. Kościół w USA przygotował i wdrożył odpowiednie normy postępowania w tej dziedzinie. Nowy papież powinien pomóc w propagowaniu w innych Kościołach lokalnych. Ciekawa rzecz, że z ankiet socjologicznych wynika, iż katolicy w USA wyobrażają sobie nowego pontyfikat inaczej niż dużo bardziej konserwatywni katolicy w Polsce czy krajach afrykańskich. W USA mniej więcej połowa chce papieża gotowego do dyskusji i działania w sprawach takich, jak antykoncepcja, kapłaństwo kobiet, złagodzenie celibatu księży, spadająca liczba księży i powołań.

Oczekują też od papieża wrażliwości społecznej, wyrozumienia na los biednych i wykluczanych, w tym imigrantów. Leży im na sercu dostępność wiernych do sakramentów tam, gdzie dramatycznie brakuje księży.

Dla Europejczyka kard. Pouparda priorytetem jest sytuacja Kościoła na naszym kontynencie, gdzie „w praktykach religijnych muzułmanie biją na głowę chrześcijan”. Choć za 10 lat 80 proc. katolików będzie żyło na globalnym Południu, to europejskiemu kryzysowi wiary nowy papież też musi jakoś zaradzić. Bo przecież nie drogą dzielenia katolików na gorszych i lepszych. Dla tak myślących idealnym papieżem jest pragmatyk stojący w obronie życia (i przeciw karze śmierci), ale zdolny też walczyć z fanatyzmem religijnym i narodowym. Gotowy do gruntownej reformy Watykanu i wspólnego zarządzania Kościołem w myśl starej zasady: Piotr zawsze z apostołami, apostołowie zawsze z Piotrem.

A teraz porównajmy te marzenia o nowym papieżu z wynikiem konklawe.



Broad Peak
– jedno z ostatnich
zdjęć Macieja
Berbeki i Tomasza
Kowalskiego



© ADAM BIELICKI/POLSKI HIMALAIZM ZIMOWY

Upadki Artura Hajzera

Zdobycie szczytu Broad Peak w Karakorum, okupione śmiercią dwójki zdobywców, sprawiło, że cała Polska dowiedziała się o programie Polski Himalaizm Zimowy 2010–2015 i jego szefie Arturze Hajzerze. Kim jest człowiek, który posyła kolegów na tak niebezpieczne misje?

ADAM GRZESZAK

Kiedy Artur Hajzer mówi do telewizyjnej kamery: „najbliżsi już od dłuższego czasu nie mieli złudzeń; poinformowaliśmy dziś rodziny, że wyprawa się kończy i będzie opuszczać bazę”, można odnieść wrażenie spokoju, nawet emocjonalnego chłodu. Suchy komunikat, żadnych osobistych wtrętów na temat Macieja Barbeki i Tomasza Kowalskiego. Przyjaciele przekonują, że to maska. – Artur już taki jest, zawsze chłodny i opanowany. Pod tą skorupą jest jednak człowiek wrażliwy, który cierpi. Czuje się odpowiedzialny, a na dodatek całemu programowi himalaizmu zimowego grozi kryzys – tłumaczy jeden z himalaistów.

Hajzer na pytanie, czym dla niego jest śmierć dwóch kolegów, odpowiada lakonicznie: tragedią. Himalaiści są bardziej oswojeni ze śmiercią. – *Ludzie w górach ginęli, giną i ginąć będą* – przekonuje. Sam przez 35 lat stracił kilkunastu kolegów, w tym dwóch może nazwać przyjaciółmi: Jerzego Kukuczkę i Rafała Chłode.

Zwykle kieruje wyprawami, ale tym razem nie pojechał. Kiedy kilka tygodni temu zapytałem, dlaczego został w kraju, odpowiedział krótko: – *Byłem niedawno na Broad Peak, dlatego wyprawą pokieruje Krzysztof Wielicki. Będę koordynatorem tutaj.* Koordynator to taki oficer łącznikowy, a także rzecznik prasowy wyprawy. Hajzer zapewne nie spodziewał się, że po radosnej wieści o zdobyciu szczytu przez czwórkę wspinaczy, wkrót-

ce stanie się bohaterem mediów i posłańcem tragicznych wieści.

Z Broad Peak może mieć złe wspomnienia. Wyprawie, którą w 2011 r. kierował, nie udało się zdobyć szczytu, ale jeszcze gorzej było w 2005 r., kiedy sam znalazł się w ciężkiej opresji. Podczas odwrotu spod szczytu skręcił nogę i nie mógł chodzić. – *Miał szczęście w postaci silnych i doświadczonych partnerów ze zdobywcą Korony Himalajów Piotrem Pustelnikiem na czele. Dzięki sprawnej akcji ratunkowej, która do dziś budzi w środowisku podziw (prawie 3000 m zjazdu asekurowanego liną), dotarł do bazy, skąd został ewakuowany helikopterem* – opowiada Bartek Dobroch, przewodnik tatrzański, znawca tematyki wysokogórskiej.

Drugi raz szczęście w nieszczęściu przydarzyło się Hajzerowi w lutym 2008 r., kiedy wędrując granią polskich Tatr, omal nie zginął porwany przez lawinę. Na szczęście został płytko przysypany, zachowując niewielką przestrzeń z powietrzem koło twarzy. Ratownicy TOPR odnaleźli go dzięki detektorowi lawinowemu i czekanowi, który wystawał spod śniegu. Wyszedł bez szwanku i dwa miesiące później mógł poprowadzić szturm na kolejny ośmiotysięcznik – Dhaulagiri.

– *W górach, podczas wyprawy, jeśli któryś z uczestników znajdzie się w kłopotach, partnerzy spieszą mu na ratunek i walczą o niego do końca. Nawet jeśli jest już bryłą lodu* – tłumaczy Artur Hajzer, który ma na swym koncie wyjątkowy ratowniczy wyczyn. W 1989 r. przeprowadził akcję ewakuacji ранego Andrzeja Marciniaka uwięzionego w bazie pod Mount Everestem (po chińskiej stronie, co komplikowało akcję ratunkową). Dostał za to nagrodę Fair Play. Marciniak był jedynym ocalałym z grupy sześciu polskich himalaistów ofiar lawiny (później zginął w Tatrach).

Pytany, czy dla ratowania Berbeki i Kowalskiego partnerzy zrobili wszystko, Hajzer wyjaśnia: – *Zawsze spieszy się z pomocą taką, jaka jest możliwa. Na Broad Peak przed załamaniem pogody możliwy był tylko jeden rekonesans poszukiwawczy do wysokości 7,7 tys. m i lustrowanie przez lunetę drogi oraz ściany.*

Broad Peak jest jednym z najtrudniejszych ośmiotysięczników. Zwłaszcza jeśli szturmuje się go zimą i robi się to w stylu alpejskim. To jedna z dwóch podstawowych odmian sportowego zdobywania wysokich gór. Wspina się mały zespół, niosąc nieduży zestaw sprzętu. Muszą działać bardzo szybko, bo w skrajnych zimowych warunkach pogodowych ekipa jest wystawiona na śmiertelne niebezpieczeństwo. Oczywiście, wykluczone jest korzystanie z tlenu czy pomocy szerpów, bo to jest sport, a nie himalaizm turystyczny.

Druga metoda, zwana obłęźniczą, jest bezpieczniejsza, ale i kosztowna: duży zespół z masą sprzętu jest dostarczany do bazy śmigłowcami. Ekipa na zmianę przeciera szlak, zakłada przejściowe obozy aż pod sam szczyt, skąd rusza atak wybranych i wypoczętych wspinaczy. Tę metodę stosują Rosjanie, którym Kreml wyznaczył zadanie zdobycia zimą najwyższych szczytów i zapewnił bogatego sponsora – Gazprom.

Argumentami o polsko-rosyjskiej wysokogórskiej rywalizacji przekonywał Artur Hajzer w Sejmie posłów, by udzielili budżetowego wsparcia dla programu Polskiego Himalaizmu Zimowego 2010–2015, którego jest pomysłodawcą. Celem jest „utrzymanie prymatu Polski w dziedzinie himalaizmu zimowego” poprzez zdobycie



© LESZEK SZYMANSKI/PAP

Artur Hajzer – człowiek gór i przedsiębiorca

(skoro po tamtej stronie jest Gazprom...). Koszt jednej zimowej wyprawy to mniej więcej pół miliona złotych (letnie, treningowe, są nieco tańsze). Rosjanie na swoje oblężenia wydają po 1,5 mln dol.

– *Artur jest nie tylko sportowcem himalaistą, ale i biznesmenem, więc umie liczyć pieniądze i ma pojęcie o zarządzaniu. To znakomite połączenie, dlatego sprawdza się jako szef programu zimowego himalaizmu. To zresztą jego dziecko* – komentuje Bartek Dobroch. – *Wymarzył sobie powrót do lat 70. i 80., złotej ery polskiego himalaizmu. Czasów Andrzeja Zawady, Jerzego Kukuczki, Wandy Rutkiewicz. To ludzie, od których Hajzer uczył się gór i z którymi się wspinał.*

Ta nostalgia to także efekt życiowych doświadczeń Hajzera i jego powrotu do wspinania. Bo człowiek, który w latach 80. z Jerzym Kukuczką dokonał pierwszego zimowego wejścia na Annapurnę, a także zdobył cztery ośmiotysięczniki (najczęściej nowymi drogami), postanowił zrobić sobie przerwę w górskim życiu. Trwała 15 lat.

W Polsce właśnie zaczął się kapitalizm, a Hajzer poza znajomością gór i wspinaczki wyniósł z czasów PRL inne talenty. Lata 70. i 80. to była dla wspinaczy szkoła przedsiębiorczości. Czas dzielili między wyprawy wysokogórskie i ciężką pracę w kraju, kiedy musieli zdobyć pieniądze i skompletować sprzęt. – *Pieniądze zarabialiśmy, malując fabryczne kominy i wykonując inne prace wysokościowe. Sprzęt robiliśmy sobie sami, bo na ten zachodni nie było nas stać. Szyliśmy kurtki, śpiwory, plecaki. Nawet czekany czy haki też trzeba było sobie zrobić samemu* – opowiada Artur Hajzer, który wyspecjalizował się w szyciu. Jeszcze jako licealista uszył pierwszą uprząż dla Jerzego Kukuczki.

Pomysł, by tę na pół amatorską działalność zamienić na normalny biznes, podsunął mu w 1990 r. Albrecht von Dewitz, właściciel niemieckiej firmy Vaude produkującej stroje i sprzęt wspinaczkowy. Sam zgłosił gotowość przystąpienia do spółki. Poza Hajzerem i Dewitzem znaleźli się w niej także dwaj starsi koledzy himalaiści – Janusz Majer i Ryszard Warecki. Tak narodziła się spółka Alpinus. Firma stała się błyskawicznie jedną z najpopularniejszych polskich marek, a Hajzer poczuł smak wspinania się na biznesowe szczyty.

Wkrótce jednak przysłała lawina. – *Pod koniec lat 90. sprzedaż nam siadła. Banki widząc to, zaczęły panikować i coraz bardziej nas dociskały* – wspomina. Alpinus rozwiązał się za pożyczone pieniądze. Zabezpieczeniem jednego z kredytów był znak towarowy. – *Najpierw straciliśmy markę Alpinus, na której był ustanowiony zastaw, a w końcu mieliśmy ogłosić upadłość spółki* – wyjaśnia biznesmen.

Tamta porażka tkwi w nim jak zadra i rodzi podejrzenie, że w przepaść popchnęli go zachodni bankierzy. Wiele wskazuje jednak, że był to upadek typowy dla lat 90., kiedy szybko rosnące firmy przerażały ich twórców. To, ►